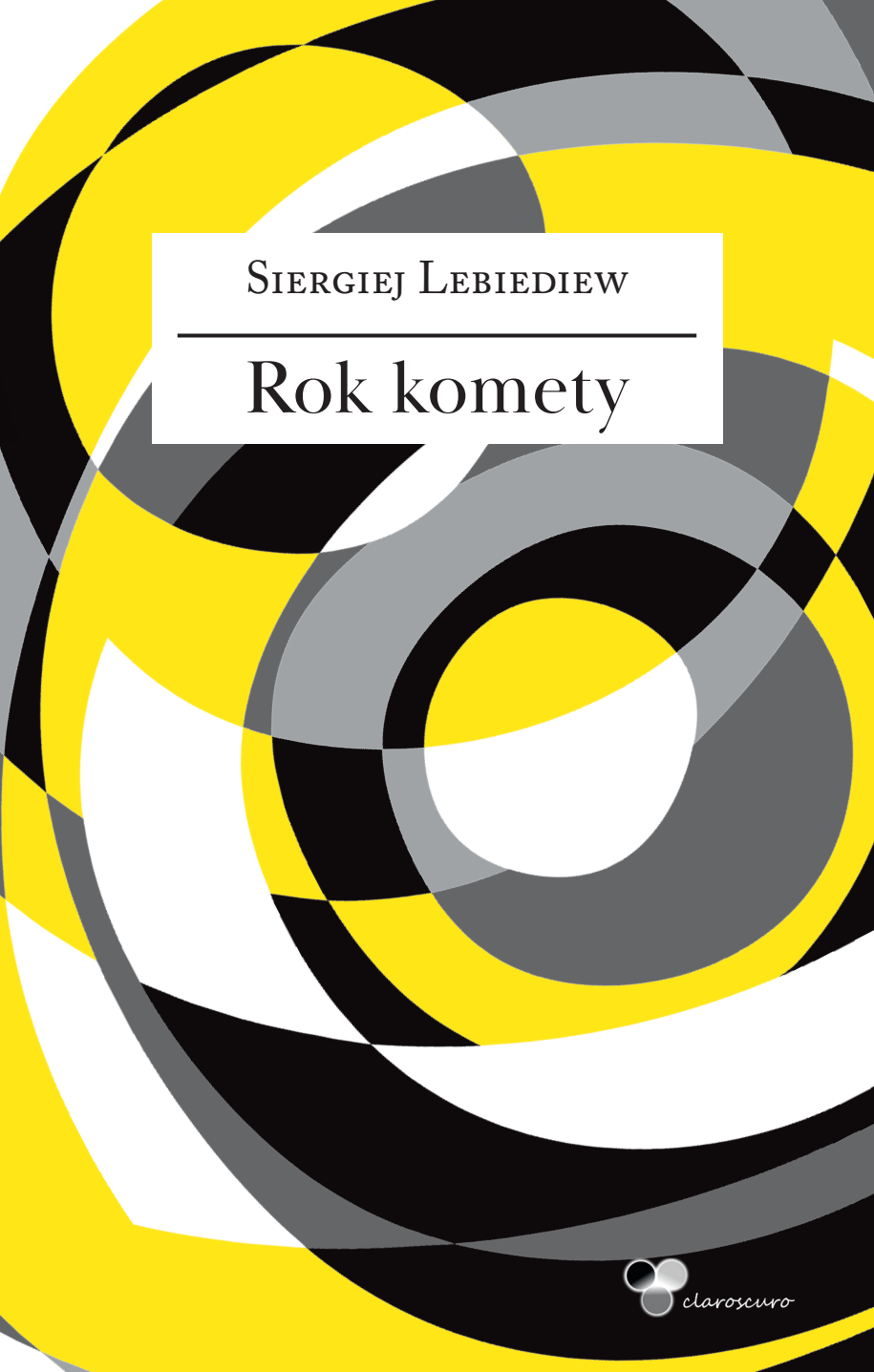




SIERGIEJ LEBIEDIEW

Rok komety

Pole milczenia

Och, te długie zimowe wieczory, gdy trzeba radzić sobie z czasem i ciemnością!

Właśnie zimą, gdy brakowało światła, odczuwałem, jak bardzo kruchy jest byt. Czułem, że słoiki i worki, upchane ciasno w szafkach kuchennych, napierają skondensowaną masą na wkręty zawiasów i gwoździe w meblach niczym rwące dziąsła.

Nadmierne, zgromadzone jakby na wypadek wojny, zapasy soli, cukru, mąki, kaszy, zapasy najzwyklejszych substancji oraz żywności, po którą dorośli zmuszeni byli stać w rozciągniętych jak stonoga lub poskręcanych jak konik morski kolejkach, w których setki znoszonych podeszew ślizgały się na lodzie, kłótnie narastały, a wcześniej zapadający zmrok zagęszczał się ciemną draperią płaszczy, podpowiadały mi, że słabe światło latarni za oknem, miarowe tykanie zegara, codzienne obracanie klucza w zamku o siódmej rano, że to wszystko może się skończyć w każdej chwili.

Okno pokrywał włochaty, wielodniowy szron, i wydawało się, że mieszkamy na bryle lodu, na razie wprowadzie jeszcze mocnej, ale trzeba nieustannie nasłuchiwać – jak pisano w książkach o polarnikach – czy lód nie trzeszczy, czy lada chwila nie powstanie w nim szczelina.

I nasłuchiwałem, wczuwając się w szum gałęzi za oknem, w bulgotanie kaloryferów, w głosy sąsiadów za ścianą; słuchałem i czekałem. Umiejętność radzenia sobie z czasem i ciemnością zaszczepiła we mnie babcia Tania. Odłożywszy zadanie domowe, siedziałem z nią przy stole kuchennym, przebijając kaszę gryczaną, ryż, jagły; zepsute ziarenka na lewo, zdrowe na prawo, oddzielałem to, co czyste, od nieczystego. Czasem babcia mówiła jakby sama do siebie, że z każdym rokiem kasza jest coraz bardziej zanieczyszczona, a po chwili znów zaczynały migotać jej palce, przyzwyczajone do precyzyjnej pracy – cerowania, szydełkowania, redagowania tekstów i składu drukarskiego.

Kaloryfery przykryte kocami i kartonami oddychały gorącą sierścią, pochylona lampa świeciła ostrym światłem jak w sali operacyjnej. W końcówce mroźnego dnia uważność – wyostrzona od rana dzięki kratkom i liniom w zeszytach – rozplywała się, miejsce szkolnego porządku zajmowały znużenie, zmęczenie bieganiną po lekcjach i przezroczystry, odcedzony smutek.

Przebijanie ziaren kaszy przypominało wróżby. Po ugotowaniu zamieniały się one w pożywienie, w to, co nadaje się dla człowieka; te nieugotowane pozostawały jedzeniem dla zwierząt, ofiarą składaną dla upamiętnienia zmarłych. Twarde, kanciaste, łuszczące się grudki wciąż należą do pola, do ziemi, wciąż związane są z podziemnym, pozagrobowym królestwem, i oddzielanie ich było niczym innym jak obcowaniem z nim.

Babcia oddalała się ode mnie, zdawało się, że w tych krótkich chwilach przebywała w dwóch światach jednocześnie; siwizna jej włosów i brązowe cętki na skórze, wyglądały jak znaki z zaświatów. Ziarna kaszy stały się dla niej czymś w rodzaju różańca, ale nie wypowiadała słów modlitwy, lecz niczym medium przywoływała tych, którzy odeszli. Nad stołem unosiło się widmo dni blokady, która zabrała jej siostry, widmo bitew, podczas których zginęli bez śladu jej bracia; ziarenka kaszy, które były najważniejszą wartością wieku głodu, miarą życia i śmierci, zamieniały się w ziarna pamięci. Babcia nie wyrzucała zepsutych drobinek, starannie zgarniała nienadające się do spożycia grudki i wysypywała je do karmnika dla ptaków za oknem, tak jakby obserwowały ją cienie tych, którzy zmarli z głodu, dla których nawet te odpadki z kaszy były na wagę złota. Do karmnika przylatywały sikorki, czasem jednak zastanawiałem się, czy to na pewno one. Czy to w ogóle są ptaki? Nieruchomiejąc, wpatrywały się we wnętrza mieszkania, jakby coś sobie przypominały na temat swojego losu, i wtedy odnosiłem wrażenie, że im samym również dziwne wydają się ich małe ciała, pióra, dziób, oczy podobne do łebka szpilki, szczebiot, ożywione ruchy.

Chciałem i zarazem bałem się pomagać babci: gdy ulegałem monotonnemu rytmowi sortowania, przestawałem jednoznacznie odczuwać samego siebie, za to czułem czyjeś przebudzenie w ciemności za zakrętem korytarza, czyjś niewidzialną obecność.

W pokoju babci istniało coś na wzór ikonostasu, utworzonego z fotografii zawieszonych na ścianie. Zdjęcia zostały ułożone w sześciu rzędach, w starych rzeźbiorych ramkach oraz w nowych, mniej wyszukanych; duże i małe – wszystkie, które się zachowały, kilkadziesiąt osób, mężczyźni, kobiety, w grupach i pojedynczo, w ubraniu cywilnym i w mundurze wojskowym; ściana czarno-białych postaci.

Babcia konsekwentnie unikała mówienia o tym, kto jest uwieczniony na fotografiach.

Ja również jej nie wypytywałem, odczuwając utajony lęk: tam były wyłącznie postacie, które nigdy nie dotrwały starości – bo przecież gdyby było inaczej, to poznałbym kogoś spośród tych ludzi; były to wyłącznie przerwane życiorysy – chyba nie dało się tego wytłumaczyć inaczej, niż tym, że wszyscy oni umarli?

I wieczorem, w promieniach światła padających od lampy, czułem, że oni, te nieznane osoby, budzą się potajemnie w ciemności, podchodzą do granicy światła, przyciągani szeptem przesypywanych ziarenek kaszy.

Na co dzień mało interesowałem się tym, kim są ci ludzie, przyjmując ich skrytość jako coś, co zostało nam dane, jako zasadę istnienia, chociaż domyślałem się, że są to moi krewni, najbliżsi przodkowie – no bo czyje fotografie mogłaby przechowywać babcia? Ich nieobecność była na tyle absolutna, że już nie odbierano jej jako czegoś negatywnego. Podobnie jak sklepy w tamtych czasach handlowały pustką za ladą, stając

się *miejszem-gdzie-niczego-nie-ma*, tak samo świat wokół trwał jako system deficytów, które poprzez swą stałość nabierały cech obecności, obecności *niczego-nie-ma*, tak samo w odniesieniu do przeszłości niepodważalny był wyłącznie całkowity deficyt własnej przeszłości, tak jakby każdy ze zmarłych zabrał ze sobą jej część i uzupełnienie owej przeszłości nie było już możliwe.

Patrząc na fotografie miałem wrażenie, że stoję na gołej wyniosłości, a wokół panuje wyłącznie ciemna burzowa siła, która nasyciwszy się, być może usnęła, ale w każdej chwili zdolna jest wrócić, i wtedy zniknę w ten sam sposób, nie zdążwszy się zorientować, że zniknąłem.

Przebijając ziarna kaszy dziwnie drewniejącymi palcami, przeżywając doniosłość milczenia babci, nagle poczułem słabość, brak podwalin własnego życia, jakby ono było czymś przypadkowym, niedopatrzaniem losu, i sam sobie zacząłem zadawać pytania: Kim jestem? Kim jestem?, tak jakbym chciał sprawdzić trwałość stanu milczenia.

„Żył człowiek w ziemi Uc” – mówiła babcia Tania, zapominając się, wypowiadając na głos zdanie adresowane do samej siebie, tak jakby zaczynała opowiadać bajkę: „Nad niebieskim morzem żyli sobie staruszek ze staruszką”.

„Żył człowiek w ziemi Uc” – to była jej tajna fraza, szeptała ją, gdy przewyciężała niedomaganie albo gdy czuła w sercu jakiś ciężar. Szukałem kraju Uc

w encyklopediach, słownikach i atlasach – nie znalazłem i uznałem, że babcia go wymyśliła, kraj strat, kraj-odprysk, w którym z pierwotnej nazwy zachowała się tylko jedna sylaba – Uc. W tym kraju nic nie zachowało się w całości, i żyje tam człowiek-ułamek, ktoś w rozmiarze dwóch piątych robotnika ziemnego, które pozostawały, gdy niewłaściwie rozwiązało się zadanie z matematyki. On zna wyłącznie obecną nazwę kraju – Uc, i nie pamięta, że kiedyś była ona dłuższa, i nie stroni od przepołowionych rzeczy swojej ziemi, nie stroni też od samego siebie rozszczepionego.

A babcia, dłonią przesuwając do siebie moją część nieposortowanej kaszy, gdy czuła, że potrzebuję dodatkowej zachęty, cytowała z pamięci, ogarniając stół ironicznym spojrzeniem, na którym wznosiły się górkі kaszy gryczanej lub jaglanej:

...Oczyrna wodząc w krąg smutnymi
 Zadumał się i westchnął Rusłan:
 „O pole, pole, powiedz ty mi,
 Kto cię martwymi kośćmi uszał?
 Czyj deptał ciebie rumak śmiały
 W ostatniej chwili krwawej bitwy?
 Kto padł na tobie pełen chwały?
 Kto słał do nieba swe modlitwy?¹

¹ Aleksander Puszkin, *Rusłan i Ludmiła*, tłum. Jan Brzechwa. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

Po chwili jej głos się zmieniał i ostatnie wersy deklamowała już z pełną powagą:

Czemuś umilkło, czemuś wokół
Porosło zielem zapomnienia?²

„Czemuś umilkło, czemuś wokół / Porosło zielem zapomnienia?” – powtarzała babcia, wsłuchując się we własne słowa, a mnie się wydawało, że ona ma na myśli jakieś konkretne pole, mimo że nieistniejące w znaczeniu geograficznym.

Pole z bajek Puszkina z martwymi głowami, złymi czarownikami w jaskiniach, ciemnymi rzekami, śladami minionych bitew, pole, gdzie każdy człowiek jest samotny. Gdy babcia kończyła, czułem, że żyję w takim właśnie polu, że jest mi ono znane jako doświadczenie uczuć, mimo że nie potrafię powiedzieć, skąd się to wzięło.

Ogarniało mnie obezwładniające poczucie sieroctwa. Miałem babcię, ojca i matkę, a mimo to byłem sierotą. Sierotą po kim? Dlaczego sierotą? Skąd bierze się to odczucie? Odpowiedź ukrywała się w polu milczenia.

Kończyliśmy sortowanie kaszy, siadałem do odrabiania zadań domowych i wszystko, co działo się przy stole, stawało się nierealne, znikało. Ale po upływie tygodnia babcia znów przynosiła ze sklepu kilka kilogramów kaszy gryczanej – rodzice denerwowali się na nią za te niepotrzebne zakupy – i wszystko się powtarzało: światło

² Tamże.

lampy, budzące się w ciemności fotografie, lęk wywołany poczuciem straty, „żył człowiek w ziemi Uc”, „Czemuś umilkło, czemuś wokół / Porosło zieleń zapomnienia?”, i znów próbowałem podtrzymać w sobie to odczucie, że zbliżyłem się do jakiejś najważniejszej prawdy.

Jak sprawić, by utrzymać się blisko niej? To było niewykonalne. Ale nie mogłem zapomnieć o stanie bliskości z nią; on powracał, stawał się wewnętrzną siłą, i w tych krótkich chwilach wiedziałem, że nie ulegnę – ale nie ulegnę czemu? Nie złamię się – ale pod presją czego? Czy coś odkryję? Odpowiedź znów pozostawała w polu milczenia. Wyobrażałem sobie pustkowia, gdzie zgromadziła się szara substancja wypełniona obłokami, miękka i dusząca jak wata; te pustkowia były wszędzie wokół, tuż obok, za bliskim horyzontem tego, co widzialne, za ścianą pokoju, za sąsiednim budynkiem, za drzewami parku, w piwnicy, na strychu.

W każdej starej rzeczy zwidywało mi się coś, co przypominało pustą przestrzeń wewnątrz fajansowej statuetki, wypełnioną milczeniem; właśnie taka przestrzeń jest w każdym człowieku. Nie połknięte słowa, nie tajemnica kryjąca się gdzieś we wnętrzu, lecz milczenie; by je określić, nie możemy użyć mianownika – kto, co, lecz wyłącznie celownika – o kim, o czym... Zacząłem poszukiwać materialnego świadectwa tego, że moje intuicje, które mogłem mocno przeżywać, ale których nie byłem w stanie jednoznacznie wyrazić, nie oznaczają, że oszukuję samego siebie. Stałem się detektywem tropiącym

coś zupełnie nieznanego; powinien to potwierdzić jakiś przedmiot, jakieś słowa: moje uczucia nie kłamią, musi istnieć to, o czym wszyscy milczą. Nie spodziewałem się natychmiastowego i całkowitego objawienia, potrzebo-
wałem chociażby aluzji, znaku.

Gdzie i czego miałbym szukać? Mieszkalem w dwupokojowym mieszkaniu, uczyłem się w szkole, spędzałem wakacje na daczach, od czasu do czasu gościłem u przyjaciół rodziców... Ale wciąż nieprzerwanie kartkowałem książki, które brałem z półek: a nuż znajdę w nich jakiś kwitek, kartkę z kalendarza, które zostały tam włożone zamiast zakładki; wyjmowałem fotografie z ramek w albumach zdjęciowych – a nuż z tyłu, pod nią, została wsunięta jeszcze jedna; mając doświadczenie w tworzeniu skrytek – których w mieszkaniu urządziłem co najmniej kilka – szukałem cudzych, ale znajdowałem jedynie kupione zawczasu i schowane prezenty albo ukryte przed złodziejami pieniądze.

Nawiasem mówiąc, nie wierzyłem, że zdobycz będzie w skrytce; raczej skłaniałem się ku przypuszczeniu, że pewnego dnia, gdy już odpuszczę sobie te gorliwe poszukiwania, objawi się przede mną druga twarz, drugie dno rzeczy. A im bardziej zwyczajna, niepozorna będzie ta rzecz, tym bardziej nagły i jednoznaczny okaże się sposób, w jaki ujawni się jej „podwójne oblicze”. Rzecz jasna, nie żyłem wyłącznie tymi poszukiwaniami; one po prostu się zdarzały, niczym atak choroby, niczym diabelska pokusa, a pomiędzy tymi zrywami moja egzystencja

była zwyczajną egzystencją ucznia młodszej klasy. Nie jestem w stanie przypomnieć sobie niczego z tych długich odcinków czasu, za to doskonale pamiętam nieodpartą chęć potwierdzenia swojego istnienia w rzeczywistości, panującą znowę milczenia i napięcie każdej chwili poszukiwań.

Gdy mieszkanie i inne dostępne dla mnie przestrzenie zostały już wielokrotnie przeszukane i nie przyniosło to żadnego rezultatu, prawie straciłem wiarę w swoje domysły. Wszyscy potencjalni kandydaci na „odmieńców” zostali przeanalizowani i odstawieni; wyglądało na to, że zwariowałem. Świat był tak zwarty, nie miał żadnej ukrytej szczeliny, ubóstwo jego jednoznaczności było tak oczywiste, że ogarnęło mnie uczucie dojmującej tęsknoty, przeczuwałem, że oto waży się całe moje życie – jeśli teraz wyprę się własnych przeczuć, uwierzę, że nie ma w nim żadnego podwójnego dna, i również moje domysły wyprą się mnie, wybiorą sobie innego paladyna, innego detektywa.

Zrezygnuj – sugerują to wszystkie okoliczności; zrezygnuj – potwierdzają to wszystkie nieudane próby; i tylko najśłabszy, ledwie słyszalny głos szepcze: jeśli zrezygnujesz, przestaniesz istnieć, dlatego że to „ty” jesteś wewnętrznym słuchem, wewnętrznym spojrzeniem; ponosząc porażki, nie zauważyłeś, że każda z nich była krokiem we właściwym kierunku; jesteś blisko, jesteś bardzo blisko sukcesu, spróbuj jeszcze raz!

Spróbuj! – i oto pewnego dnia, doczekawszy chwili, gdy zostałem w mieszkaniu sam, postawiłem na widocznym

miejscu budzik odmierzający czas do powrotu babci Tani, i ponownie zacząłem przeszukiwać. Rozpacz, rozpacz – już wielokrotnie obmacywałem podszewki ubrań w garderobie, wyciągałem książki z półek, otwierałem zakazane szuflady biurka, odnajdywałem wspólne i prywatne sekrety i dowiadywałem się, kto i co przed kim chowa, znajdowałem słoiczki z pastą do obuwia, zaglądałem za lustro, wsuwałem rękę w otwory wentylacyjne, przeglądałem wnętrzności pralki – rozpacz, rozpacz, wszędzie pusto, wszystko milczy! Wskazówka minutowa już przyspiesza, doganiając godzinową, do powrotu babci pozostało piętnaście minut, zanim wróci, trzeba wszystko ułożyć w taki sposób, jak leżało, zamknąć wszystkie drzwiczki, przekręcając kluczyk we właściwym rytmie, buty w przedpo koju ustawić tak, jak stały, zetrzeć wszystkie ślady palców z warstwy kurzu – trzeba będzie skłamać, że postanowiłem zabrać się do sprzątania, wieszaki w szafie zsunąć tak, aby odległość między nimi była taka sama jak przed moim wtargnięciem. Jeśli nie zostawię zbyt widocznych śladów, babcia i matka niczego nie zauważą; co innego ojciec – ze swoim zamiłowaniem do porządku będzie dotknięty każdą, nawet najmniejszą, zmianą, która zaszła pod jego nieobecność; ojciec poczuje różnicę, dlatego koniuszkami palców muszę wyczuć, jakie było właściwe położenie rzeczy, i przywrócić im tę właśnie pozycję.

Trzydzieści minut, dwadzieścia minut, dziesięć, dziewięć, sześć – i nagle z jakiegoś powodu w pośpiechu zacierania śladów ogarnęło mnie przecucie, że babcia

się spóźni; ona nie wie o moich zamiarach, a gdyby wiedziała, to raczej by ich nie poparła – ale na zachętę hojnym gestem daje mi dodatkowe pół godziny, postanowiwszy pójść pieszo od stacji metra, daje ten dodatkowy czas, grając ze mną w chowanego, odwróciła się i nie podgląda. I przez to niewuwzględnione wcześniej pół godziny, gdy zdołałem już usunąć wszystkie ślady przeszukiwania, gdy już bez pośpiechu powoli tykał zegar, zobaczyłem mieszkanie innym spojrzeniem, zobaczyłem, że pozostało kilka miejsc, kilka przedmiotów, na które nigdy nie zwróciłem uwagi, choć mogłoby się zdawać, że to niemożliwe. Przez chwilę czułem się jak w środku jakiegoś rebusu, łamigłówki: promień światła z korytarza wskazał mi tremo, w lustrze odbijał się stojący na szafie podarowany przez kogoś miedziany dzwoneczek, którym babcia sygnalizowała początek i koniec naszych zabaw; wziąłem go, zadzwoniłem, miedziane „dzyń-dzyń-dzyń” jak zawsze zaczęło odliczanie szczegółnego czasu, gdy ożywają zabawki.

One leżały obok, ułożone w kącie babcinej kanapy – szmaciany klaun w haczykowatych plastikowych sztybletach, pluszowy pies Timka z oczami z guzików, gumowy człowiek o imieniu Mymrik z nosem ostrym jak u jeża, trzymający na ramieniu uszytą przez babcię torbę sanitariusza, syntetyczny, zniszczony, biały zimowy zajęc Zajac, i jeszcze kilka innych, mniej ważnych zabawek bez imion. Wszystkie tworzyły oddział partyzancki – najczęściej bawiliśmy się z babcią właśnie w wojnę – i nigdy

nie przyszło mi do głowy, by zapytać, dlaczego te istoty, zupełnie pozbawione bojowego charakteru, miały być partyzantami. Wieczór za wieczorem partyzanci podkradali się do wąwozów w fałdach koca pod tył sofy, gdzie przebiegał nasyp kolejowy, podkładali miny pod najważniejszy niemiecki eszelon z czołgami i działami, wycofywali się, obwiązując rannych bandażem, który babcia zawczasu wkładała do torby sanitariusza Mymrika; klaun zabezpieczał odwrót, ścigał na siebie pościg i ginął w śniegach prześcieradła, które wypusnęło spod koca, żeby nazajutrz, po wskrzeszeniu, znów ruszyć na wypad, wykonując kolejne zadanie dowództwa. Dlaczego akurat partyzanci? Dlaczego partyzanci? Takich pytań wtedy sobie nie zadawałem. Czerwono-niebieski klaun, żółty pies, który szczekał do czasu, aż nie zepsuł się przycisk na jego brzuchu, biały zając, który potrafił się maskować niczym fińscy snajperzy kukułki, nieporadny sanitariusz Mymrik, pozostałe zabawki, wszyscy ci, których w archiwalnych informacjach oznacza się skrótem „i in.”, szeregowi nieznani z nazwiska, kim jeszcze mogliby być? Tamtego dnia oni wszyscy, całe moje zabawkowe wojsko, moi towarzysze, których wyobrażone rany odczuwałem jak prawdziwe, jak swoje, siedzieli niczym podczas postoju, oparci o tył kanapy, i patrzyli w jeden punkt; trajektorie ich spojrzeń wskazywały na róg regału z książkami. Stał tam wielki tom w ciemnobrązowej skórzanej oprawie, zlewający się z kolorem regału; na wysokim grzbiecie tej książki nie było żadnego tytułu. Uzmysłowiłem sobie, że

to właśnie dlatego tyle razy obojętnie przesuwałem po niej wzrokiem, pomijałem jak coś zupełnie nieistotnego!

I wtedy przypomniałem sobie, że kilka razy widziałem, jak babcia siedzi przy stole, a książka ta leży przed nią. Ale ona tak zręcznie maskowała te momenty – sprawiając, że wyglądały na przypadkowe, nic nieznaczące, jakby przejściowe pomiędzy innymi zajęciami, na przykład między czytaniem i cerowaniem – że skutecznie udawało się jej oszukiwać mnie.

Zdjąłem książkę z regału; na okładce nie było tytułu. Ciężki tom, który bardziej przypominał księgę inwentarzową, niespodziewanie się otworzył i obnażył biel pustych stronic. Ale czy mogłem uznać, że to po prostu makietą wydawnicza jakiejś ważnej publikacji? Nie. Podpowiedź przyszła samoistnie: przypomniałem sobie biografie rewolucjonistów piszących listy z więzienia mlekiem lub niewidocznym atramentem. Tekst jest w książce, ale trzeba użyć sposobu, by się ujawnił! Przecież z jakiegoś powodu babcia przechowywała ten pozbawiony słów tom, postawiła go na regale tak, by nie rzucał się w oczy innym domownikom i był widoczny dla niej; może chciała, żeby o czymś jej przypominał, dlatego zawsze miała go przed oczyma! Zachwyciłem się sprytem, z jakim ta książka została ukryta – na widoku, kartkowałem puste strony, i z podniecenia, z przedsmaku, zaczęły zwidywać mi się wyblakłe litery. Łączyły się w słowa, słowa – w wersy, wersy całymi rzędami wypełniały stronice; książka widmowo migotała, pojawiały się niepodobne do siebie charakterystyki pisma, różne

zczionki, obrazki, fotografie, odsyłacze – wszystko trudne do odróżnienia, znikające, umykające. To była księga ksiąg, arka nieistniejących tekstów napisanych zgodnie z gramatycznymi i ortograficznymi zasadami pochodzącymi z różnych epok; teksty ścieśniały się, przeciekały jeden przez drugi, znikały.

Odwróciłem się – za plecami miałem ścianę fotografii, ścianę milczących postaci, i wydawało mi się, że czuję cieniuteńką więź pomiędzy postaciami i charakterami pisma, fantomowymi wyrwywkami tekstu. Nie wiedziałem, czy wytworzyło ją moje pragnienie, czy to mój domysł, czy może to wszystko jest snem na jawie. Ale jednego byłem pewien: kiedyś w tej książce zagoszczą prawdziwe litery. I to ode mnie zależy, czy na białych stronicach pojawią się wersy; to zależy od tego, jak będę żył, czego będę szukał, w co będę wierzył. To będzie oryginał, materialnie istniejąca prawda, odpowiedź na wszystkie moje pytania; nagroda za to, że byłem oddany samemu sobie.

Tak oto moje życie, nie wypadając ze zwykłego nurtu, nabrało wymiaru oczekiwania stwarzającego duchową otoczkę dla obiecanego spotkania. Wiedzę o tajemnej księdze ukryłem głęboko w swojej świadomości, po części przeczuwając, że wiara w jej nadzwyczajne właściwości nie powinna być poddawana próbie czy zwątpieniu zbyt często, gdyż jest bardzo krucha; ale nie ustawałem w wysiłkach. Można nawet powiedzieć, że zacząłem żyć podwójnym życiem.